

Janusz Sławiński

Bez przydziału (I)

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (54), 5-21

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Fragmenty

Janusz Sławiński

Bez przydziału (I)

*

Trzeba usilnie podkopywać pogląd, jakoby przeznaczeniem humanistyki miało być osiągnięcie kiedyś – w szczęśliwej przyszłości – pułapu metodologicznego, jaki ustaliły swymi osiągnięciami nauki dziś wzorcowe, przede wszystkim fizyka i dyscypliny fizykopodobne. Wciąż pętają się po naukoznawstwie scjentystyczne rojenia: że niby humaniści nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko niezwłocznie podjąć wysiłek *d o g a n i a n i a* – oczywiście nie czoła orszaku twardej nauki, ale przynajmniej jego końca.

Widzę to jak na filmowym obrazku: na przedzie kroczy dostojnie mój Przyjaciel, Grzegorz Białkowski – fizyk wysokich energii; za nim w stosownych odległościach przedstawiciele innych nauk, które osiągnęły w swym rozwoju stadium „paradygmatyczne” czy „teoretyczne”, wiele kilometrów z tyłu biegnę – powiedzmy – ja. Ci zdążający w orszaku nawet nie mogliby dojrzeć z oddali mojej sylwetki, co najwyżej jakieś zawirowanie kurzu na gościńcu. Oni *k r o c z ą*, a ja biegnę – coraz bardziej zdyszany, potykam się, przewracam, potem znów lecę. Owładnął mną trudny do wytłumaczenia imperatyw doświadczenia pochodu. Nie mam jednak żadnych szans: gdybym nawet był szybkonogi jak Achilles, nie doścignę mego Przyjaciela, choć porusza się on na-

przód powolnym i rozważnym krokiem żółwia. Ciekawe, że tak beznadziejnie biegnąc w ogóle nie zastanawiam się, po co to czynię. Czy jest jakiś sens w mojej gonitwie za tamtymi? Może rozsądniej byłoby machnąć na nich ręką: niech sobie kroczą! – a samemu przystanąć i rozejrzeć się wkoło, czy w tym właśnie miejscu nie oczekują mnie ciekawsze zadania niż desperacki pościg?

Ulegając wmówieniom scjentyistów, humanistyka skazuje się na los godny pożałowania (dziś bardziej niż kiedykolwiek): na peryferyjne wegetowanie w świecie Nauki, na permanentne niedorastanie do jej standardów, na nieuleczalną „przedparadygmatyczność” czy „przedteoretyczność”, a co może najprzykrzejsze – na daremne próby i m i t o w a n i a procedur poznawczych wypracowanych przez dyscypliny uznawane za miarodajne. Nic bardziej śmiesznego dla ludzi je uprawiających od takiego małpiarstwa. Odnoszą się do niego szyderczo, pogardliwie, lub w najlepszym razie protekcyjnie. Utwierdza ich w przekonaniu, że akademicka humanistyka to po prostu jakaś nieudolna parodia tego, co sami robią; że jest ona niedonauką, tym mniej zasługującą na zaufanie, im bardziej próbuje stroić się w cudze piórka i uchodzić za coś, czym nie jest i być nie może.

Trudno odmówić takiemu przekonaniu zasadności. Rzecz w tym jednak, że los ubogiej krewnej wcale nie jest dla humanistyki nieuchronny; może go sobie wprawdzie wybrać, ale wcale nie musi. Relatywizacja do świata Nauki pozostaje bowiem tylko jedną z paru równorzędnych relatywizacji, jakim podlega pośród różnych dyskursów, nie zaś odniesieniem jedynym, czy nawet szczególnie wyróżnionym. Tylko częścią swoich zobowiązań przylega do nauki; pozostałe zobowiązania kierują ją w zupełnie inne strony komunikacji społecznej. Przynależąc do królestwa scjentyistów jedynie aspektowo, może nie z uległością, ale warunkowo, poddawać się tamtejszej jurysdykcji i nie przejmować się z nadto kwestią, czy fizyka odgrywa w tym królestwie rolę przewodnią, czy kierowniczą.

W istocie pozostaje ona współgrą (dokładniej mówiąc: ustanawia taką współgrę) pięciu żywiołów językowych:

- języka nauki
- języka filozofii
- języka poetyckiego (w szerokim sensie, czyli języka literatury pięknej)
- języka ideologii
- języka potocznego.

Oczywiście, żywioł potoczności stanowi naturalne podłoże także filozofii, poezji czy ideologii. Jednakże humanistyka odnosi się do niego nie tylko w drodze takich upośrednień, ale także wprost – jako do osobnego źródła zasilen językowych, nierzadko po to właśnie, by zneutralizować w sobie ciśnienie dyskursów silniej skodyfikowanych.

Status humanistyki (jej rozmaitych dyscyplin i specjalności) byłby tedy tożsamy z jej umiejscowieniem w całym zespole języków. Wiąże się ona z nimi zarówno poprzez zbliżenia, uległości, upodobnienia, otwarcia i zaufanie, jak też w nie mniejszej mierze poprzez oddalenia, konfliktowe napięcia, nieufność i demonstracyjne odrzucenia. Nauka była nieraz obiektem bałwochwalczych uniesień humanistów, ale równie często bywała odczuwana przez nich jako zagrożenie, któremu należy stawić czoła. Zuchwalstwa stylistyczne i znaczeniowe literatury wpływają na humanistykę ponad wszelką wątpliwość regenerująco, jednakże z drugiej strony wcale często uważano, że uleganie takim wpływom wydatnie osłabia jej moce poznawcze. Inspirującej roli filozofii w dyskursie humanistów nikt nie jest w stanie pomniejszyć, jakkolwiek trudno byłoby także przeoczyć gwałtowne sprzeciwy różnych szkół humanistyki – zwłaszcza w naszym stuleciu – wobec panoszenia się w tym dyskursie filozofii spekulatywnej (tzw. filozofowania) i wynaturzeń, jakim w następstwie tego podlega. Wielu ubolewa nad tym, że humanistyka gotowa jest podejmować – niekiedy wprost, częściej skrycie – zadania perswazji ideologicznej, albo mówiąc bardziej dosadnie: przechodzić na służbę ideologii; ale przecież nie ulega wątpliwości, że stanowić może zarazem (czego sami doświadczyliśmy) ważną wytwórnę sprzętu przeciwideologicznego. A wreszcie nieprzerwany kontakt z językiem potocznym (warstw wykształconych) pozwala jej wprawdzie zaspokajać i stymulować potrzeby intelektualne dość szerokiej publiczności, z drugiej wszakże strony walka z inercją i zamuleniemi mowy potocznej (także wiedzy potocznej) stanowi wcale niemałą część pracy humanistów nad doskonaleniem języków własnych dyscyplin.

Wiadomo, że istnieją rozmaite konkurencyjne ideały humanistyki – scjentyistyczny, eseistyczno-poetycki, filozoficzny, ideologiczny, zdroworozsądkowy – i każdy z nich preferuje oczywiście jej związki z tym czy innym kontekstem językowym, zarazem osłabiając więzi z innymi kontekstami. Słowem: uciążliwym losem humanistyki są ciągłe – wciąż od nowa podejmowane – próby jej sytuowania się pośród owych kontekstów. Przymierzając się do nich tak czy inaczej, odnajduje za każdym

razem samą siebie: swoje powołanie i swój styl (zawsze niezdecydowany). I to ją w sposób istotny, i nieprzewycięzalnie, odróżnia od języka nauki, który – przeciwnie – rozwija się właśnie poprzez postępujące wykorzenianie się z innych żywiołów mowy. Maksymalna wobec nich autonomia pozostaje warunkiem jego technologicznej sprawności.

To, co przed chwilą nazwałem uciążliwym losem humanistyki, decyduje chyba zarazem o jej znaczeniu w obrębie komunikowania się społecznego. Stanowi bowiem rodzaj *targowiska dyskursów*, terytorium, na którym dochodzi do ich konfrontacji, gdzie dokonują się najróżniejsze transakcje między nimi i próby przekładu jednych na drugie. Tu oświetlają się wzajemnie i relatywizują, ograniczając nawzajem swoje roszczenia do uniwersalności, swoje zdolności poznawcze, swoje obrazy świata. Język humanistyki przypomina w rezultacie *collage* lub *patchwork*: jest łąciaty – pozszywany z kawałków rozmaitych tkanin...

15 XII '83

*

Trzy prowincje każdej dyscypliny humanistycznej (i humanistyki w całości): Encyklopedia, Teorie, Interpretacje. Jakoś połączone, a przecież odrębne (każda ma własny klimat intelektualny, krajobraz i historię). A także: trzy wielkie magazyny, w których gromadzi się i przechowuje jej dorobek poznawczy. A także: trzy modele działań badawczych, trzy epistemologicznie odmienne typy wiedzy i trzy gatunki prawd, ku którym zdążają badania.

Encyklopedia magazynuje wiadomości, których wiarygodność – w danym momencie – pozostaje poza wątpliwościami ludzi, którzy dyscyplinę uprawiają; nie wymagające sprawdzeń, ale już wyzbyte potencji problemotwórczej. Były ongiś zdobywane różnymi sposobami i z pomocą różnych metod, jednakże nikomu, kto aktualnie po nie sięga, ani w głowie zastanawiać się nad instrumentarium metodologicznym, które umożliwiło ich zdobycie. Oczywiście, co i raz okazuje się, że w tym zasobie znajdują się również informacje nieściste, a nawet fałszywe. Takie lokalne usterki, łatwe zresztą do usunięcia (bo samo ich stwierdzenie jest równoważne natychmiastowemu usunięciu), nie podważają jednak generalnego zaufania do zawartości całego zbioru.

Oto więc mamy krainę, w której nie trzeba szukać upewnien, czyli prawdy, gdyż oczekują nas na każdym kroku, a w dodatku są dostępne

bezpłatnie. Prawdy tu zmagazynowane są niczyje, ponieważ należą do wszystkich. Każdy może z nich korzystać bez obawy, że coś popsuje przez fakt wyjęcia z magazynu. Żadne uszkodzenie nie nastąpi, gdyż nie współtworzą w nim układu, z którego trzeba by je na siłę wrywać, nie są tam w określony sposób umocowane ani związane nadrzędną kompozycją – teoretyczną lub metodologiczną. Dopiero po wydobyciu mogą zostać powołane w służbę jakiejś teorii: włączone w jej uporządkowany kontekst; w obrębie Encyklopedii pozostają wolne od tego rodzaju zobowiązań. W istocie Encyklopedia dyscypliny przypomina bardziej usypisko niż jakikolwiek inny porządek. Rośnie ona w sposób nieplanowy, ale ciągły i poniekąd niezauważalny. Można by sądzić, że tę górę największej pewności humanistów usypują nieprzerwanie legiony krasnoludków.

Jeśli uznać za scjentystami, że wiedza o faktach i wiedza naukowa to dwa całkiem różne rodzaje wiedzy, należy stwierdzić, że Encyklopedia mieści się całkowicie w tym pierwszym rodzaju. Faktograficzna wiedza, która ją wypełnia, jest neutralna wobec sprawdzianów teoretycznej koherencji, pod które podpadają prawdy nauki. A więc: stopień pewności, jaką gwarantuje użytkownikom, pozostaje równie wielki jak jej oddalenie od standardów wiedzy naukowej. W rzeczy samej znajduje się ona w bezpośrednim sąsiedztwie wiedzy potocznej.

Gdy wchodzimy na subterytorium Teoryj, od razu możemy odnieść wrażenie, że występuje tu zależność odwrotna. Sam impet teoriiotwórczy humanistyki – zwłaszcza w obecnym stuleciu – pozornie zbliża ją do ideałów wiedzy naukowej, z kolei jednak niski stopień pewności osiąganých prawd teoretycznych zdecydowanie przeciwstawia ją owym ideałom (zbliżając zarazem do filozofii). Jeśli prawdy Encyklopedii obiegają jako niczyje, to prawdy teoretyczne są własnością kierunków czy szkół badawczych i pod ich szyldami są głoszone. Tamte przyrastają w sposób ciągły i jakby bezgłośnie (dlatego można je przypisać krzątaniu pracowitych krasnoludków), natomiast te nie tylko są głośne – a bywają krzykliwe – ale też oznaczają każdorazowo zerwanie ciągłości w procesie narastania wiedzy. W związku z tym historia dyscypliny inaczej wygląda, gdy patrzeć na nią poprzez dzieje Encyklopedii – jest wtedy tożsama z procesem kumulatywnym, a inaczej, gdy oglądać ją poprzez doświadczenia Teoryj – wtedy bowiem przedstawia się jako sekwencja „kryzysów”, przewrotów, innowacji i zmian kierunku.

Koncepcje teoretyczne w humanistyce rodzą się i żyją nie jako części jakiejś nadrzędnej, ewoluującej w czasie kompozycji, w której miałyby dopasowywać się wzajemnie lub zastępować jedna drugą, lecz jako konkurentki innych koncepcji teoretycznych. Głównym czynnikiem motorycznym w ich powstawaniu jest wola oryginalności, a nie wysiłek budowania gmachu wiedzy uzgodnionej. Dlatego sfera ich akceptowalności jest w każdym wypadku ograniczona do kręgu zwolenników kierunku lub szkoły. Może to być w konkretnym wypadku krąg rozległy i wpływowy, co wszakże nie zmienia istoty sprawy. Dyscyplina humanistyczna przypomina w każdym momencie bardziej zbiór rywalizujących dialektów, niż wspólnie użytkowany język. Jej stanem najbardziej naturalnym jest wielość prawd teoretycznych. W takim wielośćoście każda poniekąd traci to, co można uznawać za główną właściwość prawdy, a więc zdolność do upewniania o czymś ogółu ludzi uczestniczących w danym rodzaju komunikacji. Rozrasta się natomiast – jakby zastępczo – inna jej właściwość, rewersowa wobec tamtej, mianowicie – s p o r n o ść.

Wyostrajac, powiedzielibyśmy, że za wartość samodzielną bywa uważane to, że jakaś teza, koncepcja czy teoria może stać się kością niezgody wśród uprawiających daną dyscyplinę, skutecznie ich rozjątrzyć i poróżnić: zdobywać wyznawców, ale zarazem wywoływać sprzeciw, być popierana, ale też namiętnie zwalczana i odrzucana, co jednak najważniejsze – stymulować wyłanianie się inicjatyw alternatywnych. Idee są zauważane, a więc żywe, dopóki zachowują tę zdolność wywoływania zróżnicowanych i gwałtownych reakcji wśród społeczności naukowej. Po jakimś czasie (współcześnie są to okresy coraz krótsze) sporność prawdy teoretycznej ulega jednak zużyciu. U kresu oczekuje ją najczęściej los k o m u n a ł u.

Komunał to prawda już jakby ponad miarę uzgodniona, bezlitośnie wyssana z tego, co sporne – i dlatego właśnie nie do wyzyskania w takiej komunikacji, której siłą napędową ma być sporność. Jakoż teorie w humanistyce zapadają się w niebyt przede wszystkim pod ciężarem własnych komunałów. Nie jest tak, że teorię obala w jakimś momencie mocniejsza od niej rywalka, albo że rozpada się ona w wyniku gwałtownego ostrzału przeciwników, ani tym bardziej że sumienni krytycy przeprowadzili metodycznie jej demontaż (falsyfikację). Nie dzieje się z nią nic dramatycznego, poza tym, że przestaje być po prostu interesująca;

w miarę banalizowania się popada w zaniedbanie i zapomnienie – schodzi z afisza.

Przy czym, rzecz ciekawa, takiej osuwającej się teorii nie sposób obrońić ani nawet cokolwiek jej pomóc, wprowadzając ulepszenia i modernizacje. Żaden naprawiacz nie potrafi przywrócić strywializowanym prawdom blasku utraconej sporności – w sytuacji, gdy nikt już nie pragnie się o nie spierać.

Tak dzieje się w krótkim czasie. W dłuższym często okazuje się, że cała sprawa ma i drugie oblicze. Prawdy teoretyczne humanistów ulegają wprawdzie dość szybkiemu zużyciu, ale też zachowują zdolność odżywiania. Zniknięcie z aktualnego pola widzenia dyscypliny, a nawet okresowe zapomnienie, nie jest równoznaczne z ich uśmierceniem. Jako że nie były nigdy przez nikogo obalone, mogą budzić się do życia w zmienionych a sprzyjających okolicznościach; mogą na powrót stać się źródłem podnieć intelektualnych i układem odniesienia dla nowych zaciekawień. Świadczy o tym sposób funkcjonowania w każdej z dyscyplin dorobku ich klasyków, wielce osobliwy dla przedstawicieli *hard sciences*, przypominający nierównomierne pulsowanie światła: to zanikającego w mroku, to znów rozbłyskującego z mniejszą lub większą mocą. Czy ktokolwiek ze współczesnych fizyków lub biologów zaprzętałby sobie głowę testowaniem i rozwijaniem idei przyrodoznawczych Arystotelesa? Idee te, odegrawszy swoją rolę w kumulatywnym procesie narastania wiedzy, spoczywają w archiwum historii nauki i nikomu nie przyszłoby nawet na myśl traktować je jako element czynny we współczesnych badaniach. A przecież zarazem nie budzi niczyjego zdziwienia, gdy literaturoznawcy traktują *Poetykę* Arystotelesa jako jedno z żywych źródeł inspiracji dla dzisiejszej teorii literatury. Uznajemy to za całkiem normalne i nie wymagające żadnych usprawiedliwień. Robert Merton, rozważając gdzieś problem, o który tu idzie, przypomniał myśl Whiteheada, że „nauka, która boi się zapomnieć swoich twórców, jest zgubiona”. W świetle tej maksymy humanistyka byłaby – jako nauka – po wsze czasy zgubiona, gdyż tocząca się w niej praca teoriiotwórcza jest bezustannie uwikłana w grę z minionymi doktrynami, zwłaszcza z doktrynami założycielskimi.

Jeśli relacje między Encyklopedią a Teoriami są pozbawione dramatyzmu i układają się bezkonfliktowo, jako że ich podstawą jest obopólna obojętność, to stosunki Interpretacyj i Teoryj pozostają niezmiennie burzliwe, obfitują w kłótnie i wzajemne pretensje, w ostateczności

srowadzają się do walki o dominację w dyscyplinie. Napięcia między nimi stanowią jedną z sił napędowych jej ewolucji. Może nawet najważniejszą.

Encyklopedia jest z natury swojej ateoretyczna; natomiast Interpretacje muszą być albo przyteoretyczne, albo antyteoretyczne. Nie ma przed nimi innej możliwości. Tak czy owak poważną część swego znaczenia czerpią z odniesienia do Teoryj; ich niezależność – jakże często proklamowana – okazuje się więc co najmniej wątpliwa. (Teorie zaś faktycznie zachowują niezależność od Interpretacji!).

Sytuacji interpretacji przyteoretycznych przedstawia się dość prosto: to, co mają nam do powiedzenia o obiekcie, jest każdorazowo spartykularyzowaną prawdą teorii – i niczym więcej. Dzielą przeto los tej ostatniej w obrębie dyscypliny; wraz z nią są akceptowane przez zwolenników szkoły lub kierunku i wraz z nią, gdy czas nastanie, przesuwają się w półmrok zapomnienia. Należą do działań „na pokaz” i jako takie mogą zrazu sprzyjać prestiżowi teorii. Gdy jednak są nad miarę rozmnażane, przestają mu dobrze służyć. Monotonne ponawianie tego samego schematu analizy i eksplikacji wobec coraz to nowych obiektów, po to, by triumfalnie odnajdywać w nich za każdym razem identyczny ładunek sensu, z pewnością nie wzbogaca języka teoretycznego, który takim celom służy, wpędza go natomiast w redundancję i przyspiesza proces banalizacji.

Pierwiastek rzeczywistego dramatyzmu (i anarchii...) wnoszą do humanistyki interpretacje antyteoretyczne, i to wokół nich koncentruje się – tak czy inaczej – problematyka współczesnej hermeneutyki. Antyteoretyczność można rozumieć jako podwójny sprzeciw: interpretacja o tyle jest zdolna przynosić nie-trywialne efekty poznawcze, o ile pozostaje uparcie niewyprowadzalna z dyskursu teoretycznego i równie uparcie niesprowadzalna do niego. Ma to być elementarny warunek jej swoistej prawdy (nigdy nie wystarczający, ale zawsze konieczny), odmiennej od prawd Encyklopedii i Teoryj. W Encyklopedii warunek prawdziwości spełnia wszystko, co nie wymaga od nas, w danym momencie, sprostowania. W obrębie Teoryj prawda głoszonego poglądu lub tezy polega przede wszystkim na ich kompatybilności z przymusami pojęciowymi danej doktryny – na możliwie dokładnym wpasowaniu się w kontekst jej założeń i dopuszczalnych implikacji; są prawdziwe, jeśli ją efektywnie potwierdzają, ugruntowują, rozwijają. Nie bardzo natomiast wiadomo, na czym miałyby się zasadzać s w o i s t a prawda

Interpretacyj. Wymóg, by pozostawała niejadalna dla języka teoretycznego, trwale oporna na zabójcze parafrazy w takim języku, sam przez się niewiele jeszcze o niej mówi. Wskazuje zaledwie na jej uwiarygodnienie negatywne. A przecież istnieje ponad wszelką wątpliwość coś takiego, jak pozytywna wiarygodność poszczególnych interpretacji. Potrafimy wszak odróżniać interpretacje bardziej wiarygodne od mniej wiarygodnych czy wręcz niewiarygodnych; a więc posiłkujemy się w odniesieniu do nich jakimiś (niekoniecznie sformułowanymi) kryteriami prawdy.

Do gry są wciągane cztery typowe kryteria – rozdzielnie lub w rozmaitych połączeniach.

Pierwsze wiąże prawdę z efektywnym u c z y t e l n i e n i e m tego, co interpretowane: interpretacja podpada pod kryterium prawdy o tyle, o ile potrafi uczynić ze swego obiektu zrozumiały tekst, obojętne, czy chodzi o utwór poetycki, obraz, budowlę, zdarzenie czy ideę. (W gruncie rzeczy interpretacja z a w s z e implikuje tekstowość swego przedmiotu). Im więcej uczytelnia, tym większy można jej przypisać potencjał prawdziwości. Tak to wygląda w hermeneutyce w miarę normalnej. W hermeneutykach perwersyjnych interpretacja ma usilnie zabiegać o unieczytelnienie swego obiektu, pracowicie inscenizować jego nieprzejrzystość, tak by okazywał się nie do pojęcia; jej zadaniem ma być pomnażanie związanych z nim nierozumień. Prawda interpretacji polegałaby na tym, że odkrywa ona za każdym razem własne nierozumienie tekstu, odmienne od innych jego nierozumień, z których każde jest też na swój sposób prawdziwe. Czyż nie taki projekt przyświeca w ostateczności hermeneutyce dekonstrukcjonistów?

Drugie kryterium swoistej prawdy interpretacji to jej zdolność do podtrzymywania jak długo się da s t a n u o b c o ś c i przedmiotu (tekstu) względem tego, co dla interpretatora powszednie i swojskie. Jeśli skutecznie opiera się pokusom osławiania (a więc znaczeniowego obezwładniania) przedmiotu, bezceremonialnego skracania dystansu do niego, spełnia jeden z kardynalnych warunków wiarygodności. Obcość powinna być pozostawiona na swoim miejscu – i w nim odsłaniać sens, którego poszukujemy.

Trzecim kryterium prawdy jest u w i e r z y t e l n i e n i e p o d m i o t o w e interpretacji. O prawdach Encyklopedii wiemy, że pozostają niczyje. Prawdy Teoryj są czyjeś w tym sensie, że należą do jakiegoś kierunku lub środowiska naukowego. Natomiast prawdy Interpretacyj

są własnością indywidualną – należą w każdym wypadku do tego, kto wszczął i zakończył postępowanie interpretacyjne. Sens skryty w przedmiocie został wydobyty na powierzchnię przez kogoś, kto działał na własną rękę, a nie w imieniu zbiorowo utrzymywanej przy życiu metodyki. On jest za ten sens odpowiedzialny: wyciągnął go na jaw, potrafił mu sprostać swoim rozumieniem i przedłożył pod rozumienie innych. Interpretacja bez „właściciela”, pozbawiona uchwytnych podmiotowych gwarancji, pochodząca nie-wiadomo-skąd, nie zasługuje na zaufanie – niczym jakiś przybłęda.

Mamy wreszcie kryterium w s p ó ł p r a c y i w s p ó ł z a w o d n i c t w a między różnymi interpretacjami. Każda bowiem pojawia się i funkcjonuje na tle alternatywnych wykładni sensu tego samego zjawiska – faktycznych czy choćby tylko w danym momencie możliwych. Stopień prawdziwości interpretacji byłby pochodną jej fortunnego sytuowania się w tym polu. Albo dopełnia sobą inne dotychczasowe interpretacje, korzystając z wiarygodności, jaką się cieszą, a zarazem wzmacniając tę wiarygodność; albo potrafi wyjść poza ich horyzont, przygasić, przewyciężyć lub unieważnić uprzednie rozumienia danego zjawiska na korzyść rozumienia nowego. Tak czy owak, wypowiedź interpretacyjna zawdzięcza jeden z wymiarów swojej prawdziwości temu, że pozostaje w zauważalnym odniesieniu do sfery „już powiedzianego”, że wchodzi w relacje dialogowe (będąc dopowiedzeniem, przeczeniem, odrzuceniem) z innymi wypowiedziami interpretacyjnymi, że jawi się jako reinterpretacja.

20 X '83

*

W TPKN dyskusja o prawdzie potocznej i prawdzie w nauce. Niewiele z niej warte zapamiętania, gdyż polegała głównie na mnożeniu oczywistości. Można odnieść wrażenie, że temat, któremu została poświęcona, nie jest dziś zdolny (jak ongiś) rozgrzewać myśli profesorów. Chyba nie bardzo już dostrzegają potrzebę wkomponowywania go w dyskurs o tym, co ważne dla ich pracy. Oczywiście chętnie deklarują (deklamują), że prawda – jakkolwiek ją rozumieć – to coś z natury dobrego, także dla nauki, a przeciwieństwa prawdy tworzą krainę, którą powinno się omijać; nie wiem wszakoż, czy mieliby ochotę energiczniej zaprotestować, gdyby jakiś postmodernista oświad-

czył im, że mimo wszystko „najlepsze są miłe nieprawdy” – słowami piosenki śpiewanej przed laty przez Mieczysława Czechowicza.

Nie dziwię się zanadto (choć skądinąd sprawa dziwna), gdyż i u siebie zauważam zobojętnienie dla tej problematyki, ekscytującej mnie kiedyś niczym tajemniczy ogród. Moja wrażliwość na metafizyczne, aksjologiczne, a nawet semantyczno-logiczne subtelności dociekań o naturze prawdy uległa z wiekiem przytępieniu i zadowalają mnie teraz koncepcje raczej prymitywne. Najbardziej mi się przydaje dość prostacko ograniczone rozumienie prawdy, które utożsamia ją z o s i ą g a n n i e m p e w n o ś c i. Cecha (wartość) prawdziwości może być przypisywana wypowiedzi (obojętne – potocznej czy naukowej), która przynosi nam upewnienie, że coś ma się tak, a nie inaczej.

Wypowiedź taka gasi nasze uprzednie wątpliwości i zarazem nie rodzi nowych – w tej właśnie sprawie, której dotyczy. Wieńczy ona jakiś uprzedni wysiłek poznawczy, kładzie mu zwyczajnie kres jako teoria dzieła literackiego, maksyma moralna czy relacja o wypadku ulicznym. Osiągając upewnienie co do czegoś, „ja” doznaje zarazem uczucia nagłego samoodnalezienia się pośród niejasności. Ten, kto przedtem gubił się w domysłach, kto błądził na ścieżkach nietrafnych hipotez, kto wpływał się w mylne przewidywania – teraz oto odnajduje siebie na moment scalonego, uzgodnionego z samym sobą. Jego radość z osiągniętej prawdy jest jednak zawsze zabarwiona pewną melancholią: żegna się wszak z czymś, co zostało przez prawdę uśmiercone – z całą drogą, która go do niej wiodła.

Zdobytej w każdym wypadku pewności nie sposób sprowadzać jedynie do subiektywnego poczucia. Upewnienie się co do czegoś musi być dzielone z innymi; nie wyłącznie moje, twoje czy jego, lecz (potencjalnie) wszystkich, którzy w danej komunikacji uczestniczą. Ale takie wspólne upewnienie się jest możliwe o tyle, o ile łączy nas jakaś uprzednia zmowa co do wymagań stawianych wypowiedziom zdolnym je wywoływać. Życzymy sobie na przykład, by pozostawały w zgodzie z naszym pozajęzykowym rozeznaniami w świecie (choćby ze świadectwami zmysłów: z tym, co widzimy „na własne oczy”). Kiedy indziej, czy równolegle, wymagamy od takich wypowiedzi, by dawały się dobrze przyporządkowywać innym wypowiedziom, które już przedtem zyskały nasze zaufanie jako zadowalająco prawdziwe. Ale możemy też wychodzić z oczekiwaniem pragmatycznym, obdarzając je zaufaniem tylko pod warunkiem, że mogą programować fortunne działania.

Jak wiadomo, kryterium powszechnej zgody ludzi uprawiających tę czy inną dyscyplinę wiedzy bywa uważane za fundament prawd formułowanych w języku nauki. Jest to zgoda w każdym wypadku dwustopniowa: musi obejmować akceptację i określonego regulaminu weryfikacji, i wypowiedzi testowanej wedle tego regulaminu. Prawdą w ostateczności okazuje się to, co – powiada nieco emfaticznie Weizsäcker – ma szansę „uzyskać uznanie w ogniu krytyki wszystkich, którzy uprawiają daną dyscyplinę”. Owo uznanie nie bierze się więc stąd, że „wszyscy” zostali naraz i natychmiastowo obezwładnieni zniewalającą siłą jakiejś prawdy, lecz stąd, że została ona wpierw poddana wewnątrzdyscyplinowym negocjacom, niejako dogadana przez zainteresowanych, którzy dysponując wspólnym zestawem kryteriów jej oceny, doszli w końcu do przekonania, że nie mają podstaw, by ją odrzucić.

Swoistość dyskursu nauki miałyby polegać na tym, że zarówno reguły weryfikacji, jak też konkretne poczynania weryfikacyjne są w nim dane *explicite*. Proces upewniania się przebiega tu w pełnym świetle dnia. Cytowany przed chwilą autor mówi w związku z tym o *e t o s i e j a w n o ś c i* nauki.

A w humanistyce? Czy prawda jest w niej jedynym upewnieniem, o jakie warto zabiegać? A jeśli nie jedynym, to czy – najważniejszym? Z pewnością nie jest jedynym. Należy do całej rodziny upewnień. Tezy, problemy, doktryny, interpretacje humanistów rodzą się, są podtrzymywane, rozwijane, dyskutowane, akceptowane, porzucane – pod ciśnieniem potrzeb: Prawdy, Sensu, Wspólnoty, Komunikacji. Oto owa rodzina upewnień. Pięknie by było, gdyby pogląd, na którym nam akurat zależy, zaspokajał naraz wszystkie potrzeby – przynosił „światło prawdy”, dawał poczucie sensu, a więc sytuował się w jakiejś rozumiałej dla nas szerszej konfiguracji poglądów, zapewniał nam akceptację wspólnoty, do której należymy lub aspirujemy, i jeszcze na dodatek okazywał produktywność jako czynnik stymulujący innych do wymiany myśli.

W rzeczywistości taka idylla jest mało prawdopodobna; potrzeby owe są bowiem z natury konkurencyjne, toteż zmierzanie ku któremuś z upewnień musi zwykle oznaczać rezygnację z osiągania innych upewnień. Jakże często odkryta prawda jawi się na tle uznawanej przez nas doktryny jako niedopuszczalnie bezsensowna – i wtedy trzeba wybierać: dalsze zaufanie do napelnionej sensem nieprawdy, z którą się żyłem, czy raczej poparcie dla prawdy, która rujnuje moje poczucie sensu.

Gdy zależy ci na ciągłym potwierdzaniu, że pozostajesz „swój wśród swoich” – w grupie, środowisku czy szkole badawczej, będziesz zapewne usiłował (bezwiednie) nie zakłócać zgody z tym, co oni głoszą, i traktować to jako najpewniejszy grunt dla swoich sądzeń. Każde odchylenie od środowiskowych słuszności wyda ci się niebezpieczne, może cię bowiem narazić na wypchnięcie poza wspólnotę, do której pragniesz trwale należeć. Upodobanie do niej i przywiązanie sprawia, że będziesz wzdragał się przed uznaniem prawdy czy sensu, jeśli ich źródła biją gdzieś na zewnątrz; a i komunikacja, kiedy nie wzmacnia wewnętrznie wspólnoty, wyda ci się niepotrzebna. Można sobie jednak wyobrazić kogoś, kto w strategii swego życia intelektualnego ponad wszystko stawia właśnie udział w teatrze komunikacji. Lekceważy przywiązania wspólnoty, nieraz otwarcie je porzuca; gotów jest zaniedbywać prawdę i sens, gdy tylko nadarzy się sposobność, by ich kosztem podsycić i udratyzować komunikację w obrębie dyscypliny, spowodować w niej poruszenie czy zamieszanie. Po to coś wymyśla, by sprowokować kontrowersje, polemiki, kłótnie; nader chętnie wypowiada opinie bulwersujące, głosi zagadkowe tezy, wprowadza mgliste pojęcia i terminy, licząc na to, że staną się odpowiednio silnym wyzwaniem dla komentatorów i polemistów. Wiadomo, jak znaczna bywa w humanistyce produktywność komunikacyjna wypowiedzi, których sens pozostaje niepochwytny, odniesienia przedmiotowe – niejasne, a spójność rozchwiana. Dają one nieraz początek całym smugom tekstów, w których są cytowane i na różne sposoby przetwarzane. I właśnie ta wzmożona komunikacja, która im towarzyszy, sama przez się zdaje się stwarzać gwarancję ich wagi. Przynosi nieuwarunkowane niczym innym – upewnienie.

Gra o prawdę wplata się w dociekaniach humanistów w inne gry i często trudno ją z nich wywikłać. Jedne udają drugie, występując pod nie swoimi imionami. Konformizm wobec grupowych przeświadczeń uchodzi za odnajdywanie prawdy, potrzeba komunikacji za wolę sensu, i tak dalej. Gdy jednak spojrzeć ostrzej, wyłaniają się spoza tej przebieganki rzeczywiste odrębności owych gier: bywa, że prawda, do której ktoś dociera, godzi wprost w jego przynależność do wspólnoty, że okazuje się krzycząco pozbawiona sensu, a nawet niekomunikowalna w danym typie komunikacji.

*

Socjokomunikacyjny wymiar prawdy. Rodzi się ona i żyje w komunikacji, ale też niszczy w komunikacji – ulega zużyciu (zagadaniu) i uśmierceniu. Dochodzenie do prawdy ma zawsze w sobie wątek *w s p ó ł z a w o d n i c t w a*: docierając do niej – pokonuje się jakichś konkurentów. Zdobywa się ją wbrew komuś, wykrada, często chowa przed innymi, broni się do niej dostępu, ujawnia cząstkowo, na raty, albo niczym asa wyciąga się w odpowiednim momencie z rękawa. Zdarza się, że dotychczasowy właściciel gdzieś ją gubi; z pomocą św. Antoniego zgubę odnajdzie niechybnie kto inny i bez skrupułów sobie przywłaszczy. Dwie są typowe odmiany śmierci prawdy – umiera bądź jako komunał, bądź jako dogmat. Znam takich, co twierdzą, że historia umierania prawd jest bardziej nawet pasjonująca niż dzieje ich narodzin.

15 VI '83

*

Znany aforyzm Schopenhauera o prawdzie, żyjącej zawsze w krótkim rozplóceniu między paradoksem a banałem, powinni wypisać na swoich transparentach wszyscy stronnicy komunikacyjnej koncepcji prawdy (ci, co otarli się myślowo o Jaspersa, Ortega y Gasset, albo przynajmniej o socjologię wiedzy).

24 VII '79

*

Prawda powierzchni vs prawda tego, co schowane w głębi
 Prawda części vs prawda całości
 Prawda momentalna vs prawda ponadczasowa

Pierwsze przyciągają lekkoduchów, estetów, beztroskich liberałów, homoseksualistów, wyzwolone kobiety, rozwiązłych starców. Do drugich żywią upodobanie osoby poważne, hermeneuci, inkwizytorzy, ludzie młodzi z zasadami, heteroseksualni filozofowie, duchowni. W powszednim życiu (także intelektualnym) obracamy się

na ogół wśród pierwszych, ale niezbędny horyzont odświętności stwarzają drugie – i im wypada (ale dlaczego?) przypisywać wyższą wartość. Pierwsze mnożą się chaotycznie, drugie są bardziej podatne na systematyzację i doktrynalizację. Rozprawianie o pierwszych nie wymaga specjalnego ustawienia głosu, można o nich mówić swobodnie – na różne sposoby; o drugich zwykło się mówić w sposób zauważalnie emfaticzny, podniosły, napuszony – w wysokim stylu retorycznym.

12 X '78

*

Czy nie jest tak, że prawda żywi się tym, co podważa i neguje? Że moc jej oddziaływania zależy od stopnia „zadawnienia” mylnych mniemań, które przekreśliła? Wszak nie przychodzi do nas z milczącej pustki. Ciągnie za sobą swoją negatywną prehistorię – brzmienie poprzedzających ją nie-prawd czy niedo-prawd. I one ją w szczególnie sposób uwydatniają, wzmacniają i wzbogacają. Dopóki zdolna jest napomykać o owej prehistorii, zachowuje energię i blask. Żyjąc potem już o własnych siłach, powszednieje, a więc i przygasa.

28 VIII '78

*

Z Białoszewskiego:

może najwięcej prawdy
jest w domysłach
DOMYSŁY
świecą na prawdzie
jak gwiazdy

12 XII '94

*

Na czym polegałby bezsens zdania:
„Koncepcja Ingardena o czterowarstwowym porządku dzieła literackiego nie odpowiada prawdzie, ponieważ w rzeczywistości dzieło składa się z trzech (pięciu, siedmiu...) warstw.”?

Czy nie na tym samym, co bezsens innego zdania:

„Nieprawda, że Wokulski miał sklep na Krakowskim Przedmieściu; w rzeczywistości sklep ten mieścił się na Trębackiej.”?

15 II '69

*

Dyspozycja wprowadzenia do dyskusji o interdyscyplinarności w nauce:

Zjawisko interdyscyplinarności można rozważać w trzech perspektywach. W aspekcie merytorycznym i. to współdziałanie różnych dziedzin wiedzy: przenikanie się ich języków, problematyk, technik; metodyczna koordynacja postępowań; synteza wyników osiągniętych różnymi drogami (przez różne specjalności naukowe). W aspekcie instytucjonalnym i. to takie formy organizacji życia naukowego, w których staje się możliwa jeśli nie efektywna kooperacja merytoryczna, to przynajmniej owocna koegzystencja różnych dziedzin wiedzy. Wzorcowym przedsięwzięciem interdyscyplinarnym był uniwersytet europejski, który od swych średniowiecznych początków aż po XIX wiek stanowił nie tylko wspólnotę nauczycieli i studentów (*universitas magistrorum et scholarium*), ale także uporządkowany świat dyscyplin wiedzy (*universitas scientiarum*). Wreszcie w aspekcie socjopsychologicznym i. polega na dyfuzji różnych kręgów ludzi nauki: mieszaniu się doświadczeń i rytuałów środowiskowych związanych z uprawianiem niezależnych wzajem dyscyplin (np. akademie nauk i wielodyscyplinarne towarzystwa naukowe).

Pierwszy z tych aspektów ściąga na siebie – co rozumiacie – najwięcej uwagi. A w szczególności następujące kwestie:

1. praktyczny sens poczynań interdyscyplinarnych: to, na ile sprzyjają one nowym rozwiązaniom technicznym, ekonomicznym, medycznym, socjotechnicznym itp.;
2. teoretyczny sens takich poczynań: kształtują one obraz świata jakby na nowo skategoryzowanego – wbrew kategoryzacji, do jakich przyzwyczaiły perspektywy poznawcze poszczególnych dyscyplin nauki; odsłaniają byty uprzednio niedostrzegane, zależności nieprzewidywane, ukryte wymiary zjawisk, ziemie przedtem niczyje;

3. metodologiczny sens poczynań interdyscyplinarnych: są one zawsze formą aktywnego krytycyzmu wobec ustalonych koncepcyj dotyczących „przedmiotów” poszczególnych nauk; inscenizują dialog języków tych nauk; aby dialog taki okazał się w ogóle możliwy, musi powstać mniej czy bardziej sprawny język-pośrednik, i on właśnie stanowi za każdym razem główną zdobycz metodologiczną inicjatyw interdyscyplinarnych;

4. heurystyczny sens interdyscyplinarności: jest ona (w każdym razie – może być) skutecznym rozrusznikiem wyobraźni badawczej – i to całkiem niezależnie od jej ewentualnych pożytków praktycznych, teoretycznych i metodologicznych.

Stymulatorami aktywności interdyscyplinarnej są bądź potrzeby społeczne, gospodarcze, techniczne *etc.*, wymagające od nauki koncepcyj użytecznych w realizowaniu szerokich przedsięwzięć „kompleksowych” (np. zbrojenia, ochrona środowiska, szkoła przyszłości); bądź praktyka nauczania, wymuszająca łączenie wyników i pojęć różnych dziedzin wiedzy; bądź sytuacje kryzysowe w poszczególnych dyscyplinach (brak adekwatnego języka dla nowych obserwacji i problemów), skłaniające je do poszukiwania zasileń poza granicami ich dotychczasowych zainteresowań i kompetencji.

Domagają się dokładniejszego opisu patologii interdyscyplinarności: przede wszystkim scjentystyczny redukcjonizm (uporczywe włączanie doświadczeń nauk „miękkich” w kanon metodologiczny nauk „twardych”); następnie uleganie pokusom bezpożytecznych zapożyczeń wyłącznie werbalnych między dyscyplinami (np. swego czasu retoryka cybernetyczna w naukach społecznych), pozorujące współpracę merytoryczną; wreszcie radosna działalność specjalistów od „metodologii ogólnej”, zajmujących się krzewieniem idei interdyscyplinarności (a raczej frazesów na jej temat) bez porządnej znajomości zagadnień jakiegokolwiek dyscypliny szczegółowej.